NUMER 3. LWÓW, DNIA 1. MARCA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 1 rub. 20 k.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 20 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi raz na miesiąc.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Kraszewskiego 17

Bronisław Szwarce.

W styczniu tego roku obchodziliśmy 41-szą rocznicę powstania 1863 r., a w kilka tygodni później, bo 17. lutego, zmarł we Lwowie Bronisław Szwarce, jeden z najdzielniejszych członków powstańczego Rządu Narodowego.



Szwarce urodził się i wychował we Francyi. Pragnął jednak całą duszą zamieszkać w Polsce i dopomódz uciśnionemu ludowi polskiemu do zrzucenia strasznej moskiewskiej niewoli. Dopiero w r. 1860 udało mu się przybyć do Polski. Zamieszkał w Białymstoku, gdzie dostał posadę inżyniera przy budowie kolei. Jako inżynier przy budowie kolei wydawał tu pisemko dla białoruskiego ludu p. t. „Chutorka staroho dieda“ (Gawęda starego dziada). Pismo to obudzało w ludziach miłość swobody i zagrzewało do walki z Rosyą. Gdy się Szwarce dowiedział, że rząd stara się wyśledzić, kto jest wydawcą „Chutorki“ — umknął do Warszawy. Tam zastał już działające tajne związki wolnościowe, przyłączył się do nich i pracował gorliwie i z zapałem. I tu rząd rosyjski wnet wyśledził, że Szwarce jest duszą tajnych związków wolnościowych i wyznaczył cenę na jego głowę. W r. 1862 policya i szpicle napadli Szwarcego, który nie chciał życia swego tak łatwo oddać i długą chwilę bronił się rewolwerem. Musiał oczywiście uledz przemocy. Osadzono go w więzieniu i tam Szwarce dowiedział się o wybuchu powstania! Szlachetny ten człowiek przechodził wtedy nieopisane męki. On, który marzył o powstaniu, który do niego zagrzewał, nie mógł poświęcić mu teraz wszystkich sił swoich, lecz musiał w chwili tak ważnej dla narodu siedzieć bezczynnie w celi więziennej. Skazano go na śmierć. Ponieważ jednak rząd francuski starał się o uwolnienie Szwarcego, przeto Rosya zniosła wyrok śmierci i skazała go na dożywotnie roboty w Nerczyńsku na Syberyi. Wleczono go potem przez całą Rosyę aż do Permy i zmieniwszy jeszcze raz wyrok, odstawiono go do Petersburga. Tam osadzono go w najokropniejszem więzieniu jakie istnieje, w Szlyselburgu. Nie widząc ludzkiej twarzy, nie słysząc ludzkiego głosu, nie mogąc dostać żadnej wiadomości z kraju —

przesiedział ciężkich, długich i bolesnych lat siedem. Po tych siedmiu latach szlachetny więzień tak był schorzały i zniszczony, że zdawało się, iż dłużej takiego życia nie zniesie. Więźniowie szlysselburscy witają śmierć jak zbawienie, wprost marzą o niej, bo ich życie jest stokroć gorszem od śmierci. Rząd rosyjski nie chciał pozwolić, by ofiara jego umarła, chciał się jeszcze znęcać nad nią. Przewieziono więc więźnia na Kaukaz, a stamtąd na osiedlenie na Sybir. Wszystkie cierpienia nie zdołały złamać w Szwarcem bohaterskiego ducha. Gdy tylko poczuł znowu trochę większą swobodę, przystąpił na Sybirze do tajnego, rewolucyjnego stowarzyszenia „Narodna Wola“ i znowu z gorącym zapałem i niezłomną wytrwałością szerzył miłość swobody między ludem. Gdy rząd to wyśledził, osadzono go w więzieniu, potem znowu skazano na osiedlenie, gdzie przybywał do 1892 roku, w którym to roku przyjechał do Lwowa. Był to człowiek szlachetny i dzielny. Życie jego było pasmem mąk i cierpień, które znosił z podniesionem czołem, bo zawsze i na każdym kroku przeświecała mu miłość wolności. W kilka dni przed śmiercią jeszcze, złożony chorobą, lecz nie złamany na duchu, rzekł, że „szkoda umierać w chwili, gdy na dalekim wschodzie toczy się walka przeciw Rosyi“.

Wigilia

napisała Zofia Moraczewska.

Było już dobrze ciemno na świecie, gdy do jednego z małych domków na ubogiem przedmieściu wpadł zdyszany od szybkiego biegu chłopak, i tupiąc nogami dla rozgrzania się — bo mróz był siarczysty — wołał już w sieni:

— Mamo, mamo! co ja widziałem w mieście! jedno, dwa, trzy drzewka, od góry do dołu ubrane, całe złote, srebrne, mnóstwo świec, jabłek, orzechów! mamo, mamo!

— A czego takie hałasy wyprawiasz Jasiu? chodź do izby, zmarzniesz w sieni. A drzwi dobrze zamykaj, bo mi izbę do reszty wyziębisz — odpowiedział chłopcu głos z mieszkania.

Jaś energicznie strząsnął śnieg z ubrania i butów i nie zważając na uwagę matki, wpadł jak mógł najgłośniej do izdebki. Była to uboga izba robotnicza. Nagie ściany, proste łóżko, ubogo zaścielone, stół, dwa stołki, w kącie pod piecem parę polan oszczędnie i drobno porąbanych, nic więcej. Czysto tylko bardzo. Na stole, przy świetle małej lampki, widać porzuconą widocznie przed chwilą robotę, jakieś szycie, bielizna naprawiana zapewne.

— Jak tu zimno! Mamo, czemu nie pali się u nas w piecu dzisiaj?

A na świecie taki mróz, aż trzeszczy pod nogami. Mamo, czy dziś nie będziemy jedli wieczerzy? Głodny jestem jak wilk. A to przecież dzisiaj wilia! Tamtego roku sprawiałaś wilię Mamo!

— Cicho bądź Jasiu. Mówiłam ci już, że nie będziemy urządzali wilii, bo niema za co. Trzeba bardzo oszczędzać, bo ojciec teraz nie zarabia już od kilku tygodni i... — „Wiem“ — przerwał Jaś. — To od czasu jak ojciec przestał chodzić do tej fabryki, nie mamy pieniędzy. Ale przecież dzisiaj wilia, a mówiłaś mamo zawsze, że w wieczór wigilijny powinno być wszędzie wesoło, bo to wesołe święto! A w mieście wesoło naprawdę. Nie chciało mi się wracać do domu. Takie cudne drzewka widziałem! Mamo, czy my nigdy nie będziemy mieli takiego drzewka? Ani ja, ani Franio, ani Helenka?

Nie było odpowiedzi. Do stołu zbliżyła się i sięgnęła po robotę matka Jasia. Nie zważając na natarczywe pytania chłopca, szyła pilnie. Miała terminową robotę, którą wzięła do domu, aby trochę zarobić przez czas bezrobocia w fabryce. Ojciec Jasia był tkaczem i pracował w olbrzymiej fabryce tkackiej, której wielki, czarny komin, widać ot wyraźnie na tle szafirowego, roziskrzonego gwiazdami nieba.

Ale od wielu już tygodni fabryka stała bezczynnie. Jaś był sprytnym chłopakiem, rozgarniętym bardzo, jak na swoich ośm lat, więc wiedział i mógłby każdego objaśnić, że fabryka stoi dlatego, że właściciel, bogaty fabrykant, nie chce płacić robotnikom tyle, ile dotąd płacił, a robotnicy nie mogą się na zniżenie płacy zgodzić, bo z czegoż by żyli, oni i ich rodziny? Przecież w każdej izbie robotniczej już i tak dość zimno, jakże więc można mniej jeszcze palić niż dotąd?

Więc wszyscy ojcowie zgodnie powiedzieli, że za niższą płacę pracować nie mogą i do fabryki nie poszli. To się stało kilka tygodni temu. Fabryka od tego czasu stoi.

Jaś umiałby powiedzieć, jak to się działo, że choć ojciec nic nie zarabiał, mieli z czego żyć jako tako. Wiedział, że przychodzą regularnie pieniądze, a matka powiedziała mu, że to są pieniądze od innych robotników, którzy popierają swoich braci jak mogą przez czas bezrobocia i nie dadzą im zginąć z głodu. Ale Jasiowi była dziś tylko wilia i drzewko w głowie! I nic dziwnego. Miał przecież tylko ośm lat i musiał lubić — tak jak wszystkie dzieci — jabłka, pierniki i orzechy....

— Nie kręć się tak Jasiu. Przeszkadzasz mi. Ojciec pewno niedługo wróci. Odszedł rano z innymi i cały dzień go niema.

— A widziałem, widziałem — wołał Jaś — ojciec poszedł z innymi na jakieś zebranie, było tyle, tyle ludzi! Był i wuj, i pan Józef i pan Karol i wszyscy. Śpiewali pieśni, ja biegłem z nimi, ale ojciec kazał mi wrócić i...

Wtem drzwi od sieni skrzypnęły i odezwał się gruby, ale wesoły głos od progu:

— Dobry wieczór. Hej smyki! zbierać mi się, a żwawo... zaraz będę gotów, zaczekajcie tam na nas panie Jakóbie...

Ktoś niewidzialny odpowiedział z głębi ciemnej sionki:

— Dobrze, zaczekam. Ale spieszcie się, bo to wiecie, kawał drogi...

Matka Jasia obróciła się ze zdziwieniem. Tak wesołego głosu męża nie słyszała już od wielu tygodni. I Jaś też zdziwił się, ale zaraz zmiarkował, że się coś święci, więc jak mógł najprędzej wypadł do sieni wołać brata i siostrę.

— A co się stało takiego? Gdzie to iść mamy teraz po nocy? — pytała matka Jasia.

— Zobaczysz, zobaczysz, ho! ho! to ci niespodzianka!

Wesoła nowina w izbie biednych ludzi, to rzadka rzecz! To też warto było widzieć, jak żywo robota sprzątniętą została ze stołu, jak żwawo dzieciarnia zebrała się do drogi!

Przebiegając puste już prawie o tej porze ulice — dzieci co chwila pytały ojca: „Tatku, a dokąd idziemy?“ Ale ani ojciec, ani pan Jakób nie chcieli nic powiedzieć.

— Zobaczycie, zobaczycie — powtarzali. Wreszcie w jednej z bocznych uliczek ojciec kazał im wejść do dużej, oświetlonej sieni, stamtąd na schody wiodące na I-sze piętro i stanąć kazał przed jakiemiś dużemi, zamkniętemi drzwiami. Ale tu już nakaz nie wstrzymał dzieci. Niecierpliwe ręce Jasia chwyciły za klamkę — i...

Przez otwarte drzwi uderzył ich teraz ogromny blask tysiąca jarzących się świec, i płynący z setek piersi wesoły, choralny śpiew:

„W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia!“

Dzieci stanęły jak przykute, oniemiałe ze zdziwienia i zachwytu. Co za widok! Na środku wielkiej sali, stało olbrzymie, powały sięgające drzewko, uginające się pod ciężarem jabłek, pierników, orzechów i tysiąca, tysiąca świeczek! Obok pod drzewkiem biły w oczy porozkładane na stołach zabawki najrozmaitsze, takie cudne, cudne, jakie tylko po za oknami wystaw sklepowych widzieć można... a o jakich biedne dzieci z ubogich domków na przedmieściu daremnie marzą przez rok cały.,.

W sali ścisk wielki. Mnóstwo ojców, matek, dzieci, a wszystko śpiewa i śpiewa kolendę i radość wielka na wszystkich twarzach.

Nagle śpiew ustał. Ktoś zupełnie dzieciom nieznajomy stanął na stole, zapewne, aby go wszyscy dobrze słyszeć i widzieć mogli i mówił głosem drżącym ze wzruszenia:

— Drodzy bracia i towarzysze! Od wielu już tygodni, pomimo głodu, ostrej zimy i nędzy — walczycie bohatersko w imieniu wszystkich pracujących o lepszy byt, o chleb i ciepło dla rodzin robotniczych. Robotnicy wszystkich miast i miasteczek całego kraju współczują z wami gorąco. Choć sami ubodzy, nie dadzą wam zginąć. Jak bracia podają wam ręce. Wiedząc, że w tym roku nie macie za co sprawić wigilijnej wieczerzy, a chcąc, aby w wesoły wieczór wigilijny i Wam było wesoło, uzbierali składkami ciężko zapracowane pieniądze i zakupili podarunki dla was i dla dzieci waszych. Posyłają wam je w dowód braterskiej miłości i uznania, wraz z najserdeczniejszemi życzeniami wesołych świąt!

— Niech żyją! zabrzmiało w sali. Rozpoczęło się rozdawanie podarków. Dzieci obdarzone zabawkami, o jakich marzyć nawet nie śmiały biedactwa! Prócz tego całe stosy książek i ubrań wszelkiego rodzaju dostały się do rąk uszczęśliwionych rodziców. Powstał gwar — ten gwar płynący z wezbranych serc...

— Dziękujemy, dziękujemy! niech żyją bracia nasi, robotnicy, niech żyją! — wołano ciągle — a okrzyk ten tak był potężny, że brzmiał długo, długo jeszcze w powietrzu, choć już sala opustoszała zupełnie...

Czy to bajka? Nie, kochani Czytelnicy. To najoczywistsza prawda. Takie piękne święto miłości bratniej i solidarności, obchodzili w tym roku, w wieczór wigilijny robotnicy niemieccy w mieście Krzymiczowie w Saksonii. To bardzo, bardzo piękne zdarzenie, nieprawda?

Tadeusz Kościuszko.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Kościuszko wrócił z Ameryki do kraju, zastał Polaków pełnych otuchy i lepszej nadziei na przyszłość. Ból i rozpacz po pierwszym rozbiorze nie ustały wprawdzie, ale wywołały gorącą chęć przeszkodzenia dalszym nieszczęściom. Polacy pomyśleli sobie, że gdy kraj będzie dobrze zagospodarowany i dobrze rządzony, to żadna siła nieprzyjacielska nie zdoła go zniszczyć i w tej myśli wzięli się do pracy nad poprawą wszystkich urządzeń.

Patryoci, t. j. ludzie miłujący ojczyznę, zajęli się przedewszystkiem szkołami. Chcieli oni, aby szkoły nietylko kształciły młodzież i przysparzały jej wiadomości, lecz by zarazem budziły w młodych duszach miłość ojczyzny i obowiązek pracy dla niej. Następnie wzmocnili armię, czyniąc ją silną i karną, aby mogła śmiało stawiać czoło nieprzyjaciołom. Wreszcie pomyślawszy sobie, że kraj jest najsilniejszym wtedy, gdy dobrze jest w nim wszystkim jego obywatelom, zajęli się losem mieszczan i chłopów. Dotychczas rządziła krajem tylko szlachta t. j. właściciele posiadłości ziemskich, a rządziła tak, że wszystko w kraju jej tylko wychodziło na korzyść. Mieszczanie t. j. mieszkańcy miast, nie mieli żadnego głosu w rządzie, a zgoła smutny był los chłopów. Wówczas nietylko w Polsce, lecz w innych krajach Europy chłopi nie mieli własnej ziemi, lecz uprawiali ziemię pańską. Chłopi wraz z ziemią należeli do pana i dlatego nie wolno im było opuszczać

ziemi i przenosić się własnowolnie z jednego miejsca na drugie. Taki stosunek chłopa do pana nazywał się pańszczyzną.

Teraz zrozumiano, że i chłop jest takim samym człowiekiem jak inni, że nie wolno mu odbierać wolności i krępować go na każdym kroku. Pod wpływem takich myśli bardzo wielu panów darowywało chłopom grunta i uwalniało ich od zależności pańszczyźnianej.

Mieszczan postanowiono dopuścić do udziału w rządzie t. zn., że mieli oni odtąd wysyłać swoich posłów na sejm, tak samo jak to czyniła szlachta.

Nad temi wszystkiemi sprawami zastanawiał się sejm, zwany czteroletnim, bo obrady jego trwały przez cztery lata, a wynikiem tych obrad było nadanie Polsce nowego rządu, czyli konstytucyi w dniu 3-cim Maja 1791 r.

Ta nowa konstytucya byłaby z pewnością dźwignęła kraj z upadku, ale nieszczęściem niedługo trwały nowe, lepsze i sprawiedliwsze rządy. Wśród szlachty polskiej znaleźli się tacy źli i nierozumni ludzie, którzy nie przestawali myśleć o sobie wtedy, gdy chodziło o szczęście i lepszą dolę całego narodu. Nowa konstytucya umniejszała niepodzielną władzę i znaczenie szlachty w Polsce, a oni nie mogli znieść tej myśli. Zmówili się ze sobą w miasteczku Targowica (stąd nazywają ich zwykle Targowicą) i połączyli się z największymi wrogami Polski — z Moskalami, którym także bardzo zależało na tem, aby Polska nie mogła się dźwignąć z upadku.

Targowiczanie wraz z wojskiem rosyjskiem wkroczyli do Polski i zaczęła się wojna straszna, wojna braci przeciwko braciom. Na czele armii patryotycznej stanął bratanek królewski, książę Józef Poniatowski. Generała Kościuszkę zawezwano jako dowódcę jednego z oddziałów. Odniósł on nad nieprzyjacielem zwycięstwo pod Dubienką. Wogóle zapał w wojsku polskiem był bardzo wielki, dowódcy i żołnierze czuli, że sprawa ich jest świętą, że stają w obronie wolności, w obronie najdroższych praw obywatelskich, które zdobyli sobie po tak długotrwałych usiłowaniach. Gdyby te dzielne szeregi miały stanowić o losie Polski, zwycięstwo byłoby z pewnością po ich stronie... A jednak stało się inaczej z winy króla. Król Stanisław August miał może nieraz najlepsze chęci, ale nie miał siły wytrwania przy swojem, ani takiej odwagi, która wbrew wszystkiemu idzie raz obraną drogą. Pod wpływem namowy moskiewskiej, król zdradził sprawę narodową i przystąpił do Targowicy. W wojsku zrazu nie chciano uwierzyć tej sztrasznej wieści, a później, gdy się przekonano o jej prawdziwości, opanowała wszystkich, wedle słów naocznych świadków „rozpacz dzika". Naczelny dowódca armii, ks. Józef Poniatowski natychmiast podał się do dymisyi, to znaczy, że podziękował za służbę w wojsku. Za jego przykładem poszło około 200 oficerów, bo nikt miłujący wolność i ojczyznę nie chciał mieć do czynienia z rządami, które teraz nastały.

Kościuszko należał naturalnie do liczby tych, którzy z bolejącem sercem musieli ustąpić ze służby dla ojczyzny. Opowiadają, że król zawezwał Kościuszkę do siebie, ofiarował mu godność generał-lejtnanta i błagał, aby pozostał nadal w armii. Kościuszko odrzucił z oburzeniem nominacyę, bo nie nęciły go ani zaszczyty ani tytuły. Chciał zawsze służyć tylko ukochanemu krajowi i wolności, a nie iść dobrowolnie pod jarzmo niewoli. W najwyższem oburzeniu rzucił królowi w twarz całą prawdę, nazywając Targowiczan „infamisami, zdrajcami i łotrami".

Po zwycięstwie Targowicy, nastały dla kraju straszne czasy. Jednem pociągnięciem pióra zniesiono wszystkie nowe urządzenia, nad któremi patryoci pracowali od lat kilkunastu; prześladowano tych, którzy nie chcieli ślepo ulegać Rosyi, a wkrótce przyszło do drugiego rozbioru Polski (1793 r.).

W takich warunkach mnóstwo najwybitniejszych patryotów, nie mogąc znieść życia w niewoli, wyjechało za granicę, aby tam radzić nad dźwignięciem kraju.

Gdy Kościuszko opuszczał ojczyznę, gdy zrzucał mundur generalski i odpasywał pałasz, wziął go raz jeszcze w rękę i wzniósłszy ku górze, odezwał się w te błagalne słowa:

— Boże, pozwól raz jeszcze bić się za ojczyznę!

Prośba jego została wnet usłuchaną.

(D. n.)

Z JAPONII.

Matka, której na imię było Asako, pilnowała rannego sprzątania, a dziesięcioletni Mutso-Hito usiadł na słomianej macie, rozesłanej na podłodze i oczęta wlepił w okno. Pamiętał on dobrze tego obcego pana, którego rodzice Europejczykiem nazywali, a który zeszłego roku tak często do nich przychodził. Ten pan mawiał, że japońskie dzieci zapewne płakać nie umieją, bo choć długo już w kraju ich przebywał, nie słyszał dotąd płaczącego japońskiego dziecka. Przypominał sobie Mutso-Hito, że ów Europejczyk siadywał u nich zwyczajem japońskim na macie i wśród rozmowy mawiał do matki: „Widzi pani, tak zawsze i stale wesołych i pogodnych dzieci jak tu, to u nas nie ma. I nie dziw, bo i dorośli nie są u nas tak pogodni, weseli, powiedziałbym tak dziecinni jak u was. Gdy pani bierzesz na plecy malutkiego Hisa-Yosz i biegniesz z nim na ulicę, by przypatrzyć się widowisku publicznemu, gdy panią wraz z innymi Japonkami i Japończykami widzę w tłumie, jak się ciekawie przysłuchujecie opowiadaniu ulicznego deklamatora i śmiejecie się z jego dowcipów na cały głos — myślę sobie: te dzieci niosą mniejsze od siebie dzieci i bawią się. Wasze usposobienie wpływa na dzieci. Urządzenie domów także korzystniejsze jest dla dzieci, niż u nas. Wyobraź sobie pani, jaką moc guzów

sobie nasze dziecko nabije, zanim się chodzić nauczy po froterowanej posadzce, a gdy już biega niby swobodnie, uderzy się to o róg stołu, to o krzesło, to o szafę lub inny jaki sprzęt. U was— raj dla dzieci. Jeden wasz pokój taki jak drugi: są w nim cztery ściany i ta gruba, słomiana plecionka, przykrywająca całą podłogę, a sprzętów nie ma zgoła żadnych. A że sobie ściany zdobicie malowidłami i pałeczkami, to przyzwyczaja oko dziecka do pięknych barw i kształtów. Nam potrzeba łóżka do spania — u was największy bogacz kładzie się na plecionkę na podłodze; nam potrzeba krzeseł — wy siedzicie znacznie wygodniej na waszej plecionce; my używamy stołów, wy tylko plecionki waszej. Nie macie pojęcia ile łez oszczędzacie przez to waszym małym dzieciom“.

Mama bardzo lubiła słuchać, gdy obcy podróżnik opowiadał o swoim kraju, a on opowiadał o nim chętnie, bo widocznie tęsknił do niego. „U nas naprzykład — mówił raz podróżny — są domy murowane z cegieł i wapna. Muru raz postawionego ruszyć nie można, a w domu takie są pokoje, jakie budowniczy zrobić każe. Natomiast ściany waszych domków są zrobione z desek drewnianych, lub z grubej masy papierowej. Jeżeli chcecie, to macie małe pokoiki, a jeżeli nie chcecie, to z łatwością rozsuwacie ścianki dzielące pokoje i z dwóch lub trzech pokoi robicie jeden większy. Gdy jest np. pogodny dzień letni, wysuwacie zewnętrzne ściany domu, a słońce i powietrze bez przeszkody przenikają mieszkanie. Dzieci bawią się w pokoju na macie, a równocześnie kąpią w promieniach słońca, na świeżem powietrzu. Tej rozkoszy nasze dzieci nie mają. W naszych miastach stoją domy zwartym szeregiem wzdłuż ulic. Kamienice to poważne i szare. Miastowe dzieci nasze muszą iść nieraz długo, zanim zajdą do ogrodu. Wasze zaś domki, choćby w największem mieście, są jednopiętrowe, drewniane, z werandą i fantastycznym dachem, a zawsze jest przy nich mały ogródek. Z okien macie zawsze widok na pogodną zieleń mispli (drzewo owocowe). Jakże wesołe i ładne są zabawki waszych dzieci, których mam już pełny kufer, by je przewieźć do Europy. Mnie np. bardzo podobają się bąki, które umieją biedz pod górę, lub te które kręcąc się, rozpadają się na części, a z tych części każda obraca się dalej osobno; lubię też wasze orły papierowe, które grają podnosząc się w górę. Zresztą niech pani weźmie widoczek u nas malowany, a wasz, japoński i porówna je, a zrozumie pani różnicę naszego usposobienia i otoczenia. W japońskim widoczku nigdy nie ma ciemnych barw, tylko zawsze jasne: jasno-zielona, jasno-żółta, jasno-niebieska, a rysunek jest jednostajny, prosty i czysty. Pogodny jak wasze niebo i jak wy sami“.

Mutso-Hito przypominał sobie teraz prawie każde słowo Europejczyka, a do ocząt wlepionych w okno, cisnęły mu się łzy gorące, gwałtowne; serduszko jego ścisnął straszny smutek i okropny ból.

„A jeżeli tatuś nie wróci, jeżeli go... zabiją...“ powiedział do siebie półgłosem i zadrżał na całem ciele, przerażony własnemi myślami. Wyobraził sobie jak leci kula nieprzyjacielska na wojnie, jak trafia w dzielną pierś tatusia, jak czerwona struga krwi tatusiowi z piersi płynie, jak tatusia to boli, jak się zachwiewa i pada i — już nie ma tatusia — już nie żyje.“

To myśląc, chłopiec wybuchnął strasznym, gwałtownym, rozdzierającym płaczem.

Matka nadbiegła, usłyszawszy płacz dziecka, a smutny wyraz jej twarzy wskazywał, że i ona oddawała się podobnym myślom. Przytuliła syna do piersi i płacząc z nim, pocieszała: „Mutso-Hito płacz nam nie pomoże... uspokój się dziecino droga“. Ale chłopiec wśród łez powiedział: „Nie wiesz mamo może, że Yoritomo dostał wiadomość, że ojciec jego wczoraj zginął i brat starszy Go-Toma też... A wiesz mamo, ojciec Yoritoma i brat Go-Toma nie mieli siwych włosów jak nasz dziadek, który umarł; nie trzęsły im się ręce i nogi, byli rzeźcy, młodzi, mądrzy, dobrzy, a zamordowano ich. A co najdziwniejsze, że Komei-ten, mimo że ma szesnaście lat dopiero i wie o tem wszystkiem, rwie się na tę wojnę. Zarazby iść chciał — tylko że go nie puszczają. — Na co ta wojna? po co? dlaczego?!“ — wołał zrozpaczonym głosem chłopczyna. Pani Asako, ubrana po japońsku, z mnóstwem strzał i szpilek sterczących w wysokiej fryzurze, w długim, barwnym kirymonie (suknia japońska) okręconym w pasie pięknie haftowanym obi (pasek), ujęła w dłonie rękę synka i patrząc mu w oczy tak tłómaczyła wojnę:

„Widzisz synku, na wschodzie Europy jest mocarstwo silne i olbrzymie, które nazywa się Rosyą. Mikado tej Rosyi nazywa się carem. I u nas, w Azyi, należy do niego wielki kraj, zwany Syberyą. Na całym, ogromnym obszarze ziemi, na którym panuje car, mieszkają nietylko sami Rosyanie. Z zachodniej strony bardzo duża część kraju nazywa się Polską, a w niej mieszkają Polacy, ludzie całkiem inni, niż Rosyanie. Mówią oni innym językiem i miłują inną ojczyznę, ale car Rosyjsk zawojował Polskę, zabrał dużą jej część, przyłączył do Rosyi, a Polaków gnębi, uciska i męczy Nietylko Polaków tak car zawojował, ale i inne mniejsze narody. Rządy tego cara są takie, że nie zostawia on narodowi żadnej swobody, choć ją w Europie prócz Rosyan każdy naród posiada Car stara się tylko o to, by go naród słuchał by tak pisano w gazetach, jak jemu dogodnie, tak uczono w szkołach, jak on chce, a kto go nie słucha, tego srodze karze. Najbardziej cierpią pod tem Polacy. Choć między Rosyanami są także ludzie dobrzy, mądrzy i szlachetni, to jednak ogół jest głupi, bezlitośny i nieokrzesany. Im car jest silniejszy t. j. im więcej zdobywa znaczenia, bogactw i ziemi, tem więcej jeszcze chciałby przywłaszczyć sobie obcej ziemi i gnębić obce narody. Teraz chciał car zawojować półwysep, który znasz dobrze, na którym tyle Japończyków mieszka — Koreę. Ale nasi ludzie, Japończycy, postano-

wili bronić braci swoich od tego wielkiego nieszczęścia. I bronią oni nietylko Korei, ale temsamem także Europy. Gdyby się car wzbogacił Koreą, urósłby jeszcze bardziej w potęgę i mógłby stać się groźnym dla wolności Europy i jej mieszkańców. Nie dając mu urosnąć w siłę, bronimy także Europy. Dlatego Komei-Ten rwie się na wojnę, bo to jest wojna ze Złem dla obrony Dobrego. Dlatego tatuś poszedł tak chętnie...

Ci, którzy z naszymi walczą, ci których car posłał na wojnę, to nie są ludzie źli. Oni tak samo jak tatuś, mają w domu żonę i dzieci, którym serca bolem wzbierają jak nam. Na pierwsze nasze strzały, w pierwszych potopionych przez nas okrętach, posłał car jako żołnierzy, głównie wrogów swoich, pobitych przez siebie Polaków...

Dotychczas myśmy zwyciężali — miejmy nadzieję, że i dalej tak będzie. A teraz pójdźmy na miasto, by dowiedzieć się, czy dzienniki nie mają świeżych wiadomości z pola walki."

To rzekłszy Asako powstała z ziemi, za nią Mutso-Hito i razem wyszli na miasto.

Mapka Japonii.



Przez szkła czarodziejskie.

Są szkła, które widzą to, co niewidzialne — szkła czarodzieja! Patrzycie w kroplę wody i nie widzicie nic nadzwyczajnego. Popatrzcie przez szkła, a kropla urasta do wielkich rozmiarów. Ogromnieje przed nami — to wpływ szkieł czarownych. Szkła te nazywają się mikroskopem.

Mikroskop znaczy po grecku: „widzę to, co małe".

Mikroskop powiększa po kilkaset razy. Włos urósłby na grubą linę; ręka Wasza wydałaby się tak dużą jak niejedna kamienica.

Ale ręka jest za duża by włożyć ją pod mikroskop — i włos jest za gruby. Cieniutki włosek jest za gruby, by umieścić go pod szkiełko — trzeba go poprzecinać, tak, jak się drzewo tnie na deski.

Kropla wody przypłaszcza się pod szkiełkiem. Popatrzymy na nią. Jakież tam życie! Jaki ruch! Pełno w niej drobniutkich, przeroczystych zwierzątek, wielkości główki od szpilki, albo nieco większych, mimo to ogromne powiększenie.

Myślicie, że te zwierzątka mają głowę, nogi, ogonek? Że oczkami patrzą i uszkami słyszą?

Gdzież tam! Drobniutkie te istotki nie są wcale podobne ani do myszki, ani do ptaka, ani do motylka, ani do ryby nawet, choć we wodzie żyją.

Są to drobnoustroje, nazwane tak dla swej maleńkości.

Więc jeżeli drobnoustroje nie są wcale podobne do zwierzątek, dlaczego nazywamy je zwierzątkami?

Maszynka do zacinania ołówków, nie jest wcale podobną do maszyny do szycia, ani do maszyny kolejowej — a jednak wszystkie nazywamy maszynami.

Czemu?

Bo każda z nich wykonywa pewną pracę — choć każda odmienną, bo każda inaczej jest zbudowana.

Tak i zwierzątka. Każde jest inne — a jednak wszystkie mają coś podobnego do siebie: ruszają się, jedzą i rozwijają się.

Drobnoustrojów jest ogromne mnóstwo. Niektóre są cienkie i długie, jak patyczki — inne kuliste i t. d.

W kropli wody znajdują się najczęściej okrągłe zwierzątka. Śmieszne są one bardzo. Kropla wody je żywi.

Wystarcza im zupełnie to, co w niej znajdują, a jest tam trochę soli, trochę ziemi, po trochę najrozmaitszych minerałów ze źródła.

Okrągłe te drobnoustroje zwane amebami, zajadają te wszystkie rzeczy, żywią się niemi i rosną.

Choć ameba nie ma ani oczu ani nosa, to jednak wie dobrze w której stronie pokarm się znajduje. Choć nóg nie ma — to w jego stronę szybko podąża.

Wiecie jak? Oto ciałko jej wydłuża się w tę stronę w mnóstwo pasków i niteczek — są to nibynóżki.



Fig. *A* przedstawia dorosłą amebę; fig *B* amebę, która się dzieli; fig. *Ca* i *Cb* wskazują dwie małe ameby zupełnie już oddzielone od siebie.

Nibynóżki te wydłużają się, wydłużają, a potem kurczą się nagle — i ameba postąpiła w ten sposób o krok naprzód.

Gdy dojdzie do celu — zajada, choć nie ma ustek. Obejmuje pokarm nibynóżkami i wciąga go do środka ciałka. Tu rozpuszcza się on i rozlewa po całem ciele.

W ten sposób żywi się ameba.

Żywi się i rośnie. A gdy już, jak na siebie, dosyć duża wyrosła, zdarza się coś bardzo ciekawego.

Oto ameba ściąga nieco swoje nibynóżki i odpoczywa. Potem wydłuża się zdaje się, że spuchła po obu bokach, a w środku się zwęziła. Tak wygląda jak biszkopcik, albo jak ciężarki gimnastyczne, postrzępione trochę u brzegu.

Kuleczki po bokach zwiększają się i oddalają od siebie — pasek w środku zwęża się i rozrywa wreszcie. Mamy więc dwie maleńkie, młodziutkie ameby, które tak jak dawniejsza, wyciągają nibynóżki, ruszają się po wodzie, jedzą i rosną.

Nie ma w tem nic dziwnego, że z połowy ameby, może powstać cała ameba — przecież z gałązki wierzby, która jest tylko częścią drzewa, gdy ją wsadzimy do ziemi, wyrastają korzonki i powoli gałązka nasza zamienia się w duże drzewko.

E. B L.

Obrazek japoński Kiyonaga.



Twórcą powyższego obrazu był sławny japoński nowoczesny drzeworytnik Torii Kiyonaga, który urodził się w r. 1742, a umarł w r. 1815.

Obraz przedstawia wieczór letni nad brzegami rzeki Sumida. Na werandzie zebrało się towarzystwo na „Susumi“ (odpoczynek wieczorny). Trzy Gejsze (muzykantki) przygrywają. Powietrze jest tak czystem, że przeciwny brzeg rzeki wyraźnie się zarysowuje. Widać tam, poza malowniczo wygiętym mostem, altany nadbrzeżne, kilka domków i drzewek. Niebo jest jasnem na krańcach widnokręgu i ciemnieje delikatnie w okolicy księżyca. Kiyonaga celuje wogóle w oddawaniu tych delikatnych odcieni barw, których takie mnóstwo widzimy na niebie w pogodny, letni wieczór.

„Nasz“ rudzik.

(Zdarzenie prawdziwe).

Kochana Zosiu!

Nie pisałam do Ciebie dawno już bardzo, ale dużo mam zajęcia z odrabianiem lekcyi. Prócz tego, jak Ci wiadomo, mama ogromnie na to

uważa, byśmy codziennie szły na spacer, a o godz. 9-tej musimy już być w łóżkach. Zrozumiesz, że do pisania listów czasu nie mam. Dziś co innego. Miałam wielkie zmartwienie, spokoju do nauki i tak nie mam i czuję potrzebę podzielenia się z Tobą moim smutkiem. Nie powiem ci jednak o co chodzi, tylko opiszę całą rzecz od początku, bo inaczej zrozumieć byś mnie nie mogła.

Wiesz, że rodzice moi bardzo lubią ptaszki, że stoi u nas ogromna klatka, w której jest około 20 rozmaitych ptaków. Wesoły ich świergot naprawdę ożywia całe mieszkanie. Rodzice zajmują się niemi, znają upodobanie i usposobienie każdego ptaszka i z szczególną przyjemnością przesiadują naprzeciw klatki i przypatrują się ich wesołemu brojeniu.

Ptasznicy wiedzą o tem usposobieniu moich rodziców. Razu pewnego, gdy wróciłam ze szkoły na obiad, przyszła do nas jakaś kobieta, żona ptasznika zdaje się, i przyniosła na sprzedaż ziębę. Ojciec kupił ją chętnie, ale kobiecina odejść nie chciała, nalegając: „Niechże państwo kupią jeszcze tego ptaszka, którego mam ze sobą, ładny jest, młody i dam tanio — za 20 centów“.

— Jak się nazywa? — spytał ojciec.

— Rudzik — odpowiedziała kobieta.

— Pokażcie go!

Był to ładny, bronzowy, smukły ptaszek, miał dzióbek szpiczasty i wązki, nóżki stosunkowo wysokie i bardzo cienkie, pierś ceglasto-rudą i ciekawie patrzące. czarne oczęta.

Rodzice namyślali się, czy go kupić. Nie znali jeszcze tego ptaka, nie wiedzieli czy zgodnie żyje z innymi i czy wogóle trzymać się daje w klatce. Obawiali się, że ptaszek nie oswojony, wnet zginie, a to nam przykrość wielką zawsze sprawia. Ale kobieta coraz natarczywiej nalegała, zdawało się, że potrzebuje tych pieniędzy, ktoś przemówił jeszcze za tem, by go kupić, dość, że rudzik znalazł się niebawem w naszej klatce. Przyjęliśmy go wszyscy z pewnem niedowierzaniem. Przez chwilę uważaliśmy, czy się nie podzióbie z tamtymi ptakami, a widząc że zgoda między nimi jaknajlepsza, nie zajmowaliśmy się nim odtąd.

Tak minęło parę tygodni, aż razu pewnego zachorowała makolągwa. Nastawiła piórka, skuliła się i na dnie klatki siedziała naperzona. Nie wiem, droga Zosiu, czy zauważyłaś, gdy byłaś u nas zeszłego roku, jak się ptaszki zdrowe znęcają nad chorym, dzióbią go, trącają nielitościwie, tak że zabijają go często. To też ojciec chorego ptaka zwyczajnie przenosi do małej zwykłej klateczki i trzyma tam w odosobnienieniu umyślnie, żeby go uchronić. Tym razem klatki pod ręką nie było, więc co chwila kto inny do ptaszków zaglądał i uważał, by się choremu co złego nie stało.

Odrabiałam właśnie lekcye swoje, gdy mię mama przywołała i ruchem pokazała bym podeszła do klatki cicho i ostrożnie, nie płosząc ptaszków. Przystąpiłam. Chora makolągwa siedziała na piasku, bo już widocznie na pręciku utrzymać się nie mogła. Zziębnięta była, wtuliła się w kącik, który wydawał się jej ciepłym i bezpiecznym. Tuż tuż przy niej mocno przytulony siedział rudzik, najeżył piórka i troskliwie ogrzewał ją własnem ciałkiem. Byłyśmy obie z mamą szczerze wzruszone tą dobrocią litościwego ptaszka. Przywołałam młodsze dzieci. Szlachetność rudzika zrobiła na nich wielkie wrażenie. Obchodziliśmy się z nim odtąd jeszcze bardziej po przyjacielsku niż z innymi ptakami, bo dał dowód, że myśleć i czuć umie. Dzieci przystępowały do klatki i wołały pieszczotliwie: „rudzik grzeczny, dobry rudzik“ i t. d. Poczęto przemyśliwać nad tem, jakby rudzikowi sprawić przyjemność i — pewnego popołudnia zjawił się ojciec z małem pudełeczkiem „mącznych“ robaków w ręce. Zaczęliśmy je odtąd hodować dla rudzika. Codziennie rano dostawał trzy robaczki, lubił je i okazywał wyraźne zadowolenie po takiej uczcie.

Tak minął znowu czas jakiś, gdy spostrzegliśmy, że rudzik poznaje pudełko, w którem trzymamy robaczki. Wystarczało bowiem zbliżyć się do klatki z zamkniętem pudełkiem w ręce, a już rudzik podlatywał lub podbiegał i przystawał w rogu klatki w oczekującej postawie, to jednem, to drugiem oczkiem ciekawie śledząc, co dalej będzie.

Miłe to ptaszę znało nas, poznawało i kochało. Wystarczyło, by który z nas zbliżył się do klatki, to on zaraz podbiegał w podskokach częściej biegał niż inne ptaszki), lub podlatywał w naszą stronę i patrzył w twarz zbliżającej się osoby, jakby się nią cieszył. Tak witał nietylko dorosłych, ale i dzieci. Nawet gdy dwuletni Zdziś zawołał: „judzik — jobacka!“ przylatywała ptaszyna do niego i cieszyła się nim. Poznawał nas z pewnością i odróżniał od obcych, nieznanych sobie ludzi. Gdy kto z obcych próbował przywołać rudzika i zwabić go obietnicą robaczka, nigdy ptaszek nie usłuchał. Mówiłam ci, że lubił nas. Mam na to dowody. Przed kilkoma dniami Janusia upadła tuż przy klatce i bardzo płakała tak, że nie można jej było pocieszyć. Ptaszki wszystkie poprzestraszały się jej wrzasku, tylko jeden rudzik nietylko nie płoszył się, ale przeciwnie, podbiegał ku niej, odskakiwał, znowu przyfruwał, patrzył na dziecko uważnie, z takim wyrazem w czarnych mądrych oczkach, jakby rozumiał, że mu się co złego stało i że się żali. Ciągle fruwał po tej stronie klatki, która do nas była zwrócona, jakby starał się uwagę dziecka na siebie zwrócić. Rzeczywiście, gdy jej pokazałam rudzika, który ją żałuje, Janusia pocieszyła się.

Wzruszające zachowanie się rudzika sprawiło, że mama postanowiła wypuścić go z klatki i przyzwyczaić do swobodnego latania po pokoju. Jest zima, okna pozamykane, więc bardzo łatwo dałoby się to zrobić. Wypuszczono go.

ustawiono w widocznem dla niego miejscu małą, zawsze otwartą klatkę, w której była woda i jedzenie. Rudzik pierwszego już dnia zrozumiał, że to dla niego, brał pożywienie z klatki i znów wylatywał. Mama chciała, by się przyzwyczaił na noc do klatki wracać, jak to czyni papuga nasza i kanarek. Tego w pierwszych dniach rudzika nauczyć nie było można; schwytać go także nikt nie potrafił, bo latał zwinnie jak sikora, był nader zgrabnym i podejrzliwym.

Na wolności bał się nas bardziej niż w klatce i nie podchodził do nas tak blisko. Probowaliśmy nauczyć go tego znowu na robaczkach i zaczynało nam udawać się. Gdy kładłam robaczka blisko siebie na ziemi, to rudzik tuż tuż do ręki mojej podchodził, chwytał robaczka i odlatywał prędko jak strzała.

Wczoraj wróciwszy w południe ze szkoły weszłam szybko do sypialni, szukając mamy. Nie przypuszczałam, że się rudzik aż tam zapędzi, a jednak chodził tam po podłodze. Przez długą chwilę w pokoju nikogo nie było, przeto przeraził się mnie i moich kroków. Pędem strzały puścił się przerażony w stronę bawialni. Ponieważ stałam we drzwiach, bał się tuż obok mnie przelecieć, skierował się więc w bok do wielkiego zwierciadła, które widocznie też za przejście uważał — trzasnął główką o zwierciadło i w tej chwili padł na ziemię ledwo drgnąwszy. Przywołałam ojca, który zastał już rudzika dogorywającego.

Łatwo wyobrazisz sobie jak bardzo mi przykro. Żałuję ptaszka, który naprawdę w większym stopniu od innych posiadał rozwinięte serce i umysł. Bardzo dotkliwie odczuwam, że byłam przyczyną jego śmierci.

. . . .

Zanim zabrałam się do listu tego, był u nas wuj Edmund, jak wiesz jeszcze zawziętszy „ptasznik“ od mojego ojca. Opowiadaliśmy mu oczywiście o smutnem zajściu wczorajszem. A on opowiedział, że widział raz gniazda rudzików na wolności, że leżą one albo wprost na ziemi wśród krzaków, albo są umieszczone bardzo nisko na krzakach. Znajdują się czasem w jamach albo dziuplach drzew; zewnątrz wylepione są słomą a wewnątrz wyścielone włóknami miękkiemi, włosami, piórkami itp. Mówił też, że rudziki lubią chodzić po ziemi — teraz rozumiem dlaczego nasz rudzik częściej od innych ptaków chodził po dnie klatki.

Wuj czytał gdzieś, iż samiec rudzika naprzemian z samicą jajka wysiadują, a później wspólnie dla piskląt szukają pokarmu. Są to ptaszki przelotne, ale nie odlatują jak bociany lub jaskółki gromadnie, lecz pojedynczo, każdy z osobna. Lecą nocą, unosząc się bardzo wysoko, a we dnie wypoczywają na leśnych drzewach. Zimę spędzają w Hiszpanii, Włoszech i południowej Francyi. Przyleciawszy tam, są w pierwszych czasach ciche i smutne, jakby tęskniły do kraju, a gdy wiosna, a z nią czas powrotu się zbliża, świergocą najżywiej i najpiękniej.

Wuj opowiadał rzecz bardzo dziwną o tem, że do przyjaciela jego przyniósł jakiś łobuz całe gniazdko z pisklętami rudzików i starego rudzika. Ten przyjaciel zatrzymał ptaszki u siebie, a stary rudzik tam w mieszkaniu zajmował się pisklętami zupełnie tak, jak na wolności. Szukał im jedzenia, karmił je, aż wyrosły pod jego opieką na duże, zdrowe ptaki. Ale nie tylko o swoje pisklęta tak się troszczył. Gdy przyniesiono mu pisklęta innych rudzików, zajmował się nimi z równą pieczołowitością. Ów przyjaciel przytrzymał rudzika przez całą zimę, a na wiosnę, gdy już inne rudziki wróciły do kraju, puścił go na wolność. — Jakież było jego zdziwienie gdy pod jesień rudzik wleciał oknem do znanego sobie mieszkania, domagając się widocznie znowu schronienia na zimę.

Rozpisałam się długo, ale też ulżyłam sobie, podzieliwszy żal mój z Tobą, teraz łatwiej mogę zabrać się do lekcyi.

Chciałabym bardzo byś znowu przyjechała do nas na czas jakiś, rodzice moi bardzo by cię chętnie u nas widzieli, a ja cieszyłabym się tobą niezmiernie.

Ściskam Cię
Twoja
Lusia.

Pismo niewidzialne.

Jeden z naszych Czytelników Oleś przysyła nam sposób pisania niewidzialnem pismem.

Pisze się mlekiem po białym papierze — oczywiście, gdy mleko wyschnie, nie widać ani śladu liter. Ale gdy potrzymamy przez chwilkę papier przy szkiełku zapalonej lampy — pismo bronzowieje nagle i staje się zupełnie czytelnem.

Spróbowaliśmy receptę Olesia P. i powiodło się nam znakomicie. A wiecież na czem ten czar polega?

Oto gdy mleko zaschnie, tj. wyparuje z niego woda, pozostają inne składniki jego tj. cukier, tłuszcz, białko itd., niewidoczne, bo białe na białym papierze. Przybliżmy papier do szkiełka od lampy — wszystkie te składniki spalają się, zwęglają i dlatego bronzowieją.

Radzę Wam, nie trzymajcie papieru zbyt długo przy szkiełku, bo i kartka spalić się gotowa, a całe pismo niewidzialne uszłoby z dymem.

Korespondencye Redakcyi.

W ostatnim numerze „Promyka“ przez pomyłkę, nie dość jasno powiedziano, że nagrodę otrzyma jeden z tych czytelników, który przyszle rozwiązanie obydwu zagadek, umieszczonych w numerze. Prawie wszyscy przysłali tylko rozwiązanie zagadki liczbowej.

Rozwiązanie zagadki literowej przysłała nam wprawdzie jedna Czytelniczka, ale to było zupełnie fałszywe. Mimo to wysyłamy wyjątkowo tym razem nagrodę za rozwiązanie tylko jednej zagadki. Najstaranniej opracowane rozwiązanie przysłał nam Staś Eysymont z Borysławia, przeto książeczkę „Z Warszawy do Ojcowa“ dla niego przeznaczmy.

Kto nadeszle najlepiej opracowane rowiązanie obydwu zagadek, umieszczonych w 3-cim numerze „Promyka“, dostanie w nagrodę pióro, które ma w rączce naczyńko z atramentem, więc bez zamaczania w kałamarzu przez długi czas samo pisze. Potem na nowo można je bardzo łatwo napełnić.

Trafne rozwiązanie zagadki liczbowej nadesłali: Leontyna B. z Kołomyi, Staś E. z Borysławia, Helena G. z Borek szlacheckich, Oleś P. z Tarnopola i Julek R. ze Lwowa.

Dla stałych abonentów dołączamy do tego numeru piękną, papierową, oryginalną zabawkę japońską. Jedni dostaną ozdobnie kolorowany i misternie sklejony teatrzyk, inni okręt, inni dom lub sklep. Nowi abonenci, po zapłaceniu prenumeraty otrzymają zabawkę w przyszłym numerze. Zabawkę należy ostrożnie otwierać i uważnie się jej przypatrzyć, gdyż odkrywa się w niej coraz nowe figury i sceny. Należy ją ostrożnie rozsunąć i ustawić tak, aby tworzyła stojącą na stole izbę, teatr itd.

Ponieważ na poczcie giną nieraz posyłki „Promyka“, prosimy naszych abonentów, aby uwiadomili nas, w razie gdyby nie otrzymali pisemka lub dodatku.

Odpowiedzi.

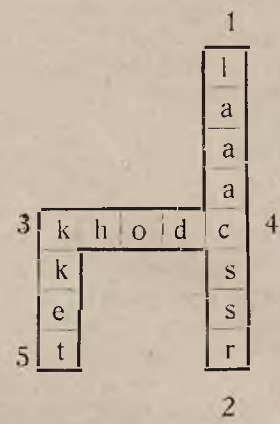
Jadwisi J. we Lwowie dziekujemy bardzo za nadesłane rozwiązanie. — Jadwisia nie pamiętała, że suma cyfr we wszystkich kierunkach, a więc i na ukos powinna być 15.

Żeni O. w Przemyślu. Zestawienie liczb i u Żeni nie było dobre, bo suma na ukos nie wynosiła 15. W 2-giej zagadce dorysowała Żenia niepotrzebnie nowe kwadraciki, nie trzeba było też zmieniać liter. Aby odgadnąć zagadkę, należy używać tylko tych liter, które były podane, bo one wystarczają w zupełności do ułożenia potrzebnych słów. Szkoda, że Żenia zniszczyła sobie numer „Promyka“ — posyłamy przeto 2-gi egzemplarz. Proszę chować numery pisemka, bo pod koniec roku podamy spis rzeczy, tak że cały rocznik stanowić będzie książkę.

Olesiowi P. w Tarnopolu. Dziękujemy bardzo za list Olesia, adresy które nam podał i „pismo czarodziejskie“, które umieszczamy w tym numerze „Promyka“.

Łamigłówki.

Ułożyć 6 zapałek tak, aby utworzyły 4 trójkąty.



1—2 rzemiosło,
3—4 z drzewa zrobione,
3—5 chroni od deszczu, wichru i burzy.

Rozwiązanie zagadek Nr. 2.

8	3	4
1	5	9
6	7	2

8 + 3 + 4 = 15
1 + 5 + 9 = 15
6 + 7 + 2 = 15
8 + 1 + 6 = 15
3 + 5 + 7 = 15
4 + 9 + 2 = 15
8 + 5 + 2 = 15
6 + 5 + 4 = 15

r
wrzos
jaśmin
l
i
n
t r a w a
r r
o o
j k
a a
n r
e y
kawa

Kącik dla małych dzieci.

Dobre odkrycie.

— Anielciu nie walaj się po podłodze — wołała mamusia raz po raz. Anielcia podnosiła się na chwilę tylko i znów znudzona na podłogę się kładła, bo nie mogła znaleźć sobie zajęcia.

— Ależ mamusiu, nie wiem co mam robić.

— Jakto nie wiesz? Laleczka leży opuszczona we wózku, albo kuchenką pobawić się nie można?

— Smutno mi bawić się samej, a Staś za

mały jeszcze. Gdy Wańdzia przyjdzie, pobawię się z nią.

— To rysuj — rzekła mama.

— Nie udają mi się rysunki.

Mama oglądnęła się w tej chwili za Stasiem. Staś był dwuletnim chłopakiem, usiadł sobie właśnie w kącie na ziemi, znalazł cztery wypalone zapałki i układał sobie z nich cichutko rozmaite wzoreczki. Bawiło go to zajęcie bardzo, nawet nie zauważył, że mama z Anielcią rozmawiać przestały.

Mama pokazała Anielci bawiącego się grzecznie braciszka i rzekła:

— On rysować nie umie, a jednak narysował sobie patyczkami ładne wzorki, wymyślił dobre bardzo i ładne zajęcie.

Mama z Anielcią zbliżyły się do Stasia usiadły koło niego na ziemi. Mama dodała dzieciom jeszcze kilka zapałek bez główki, położyła jeden patyczek końcem do siebie  i rzekła:

— Ten patyczek leży p i o n o w o, to znaczy prosto z góry na dół.

— Wiem! wiem! — zawołała Anielcia, wiem co to znaczy pionowo i poziomo.

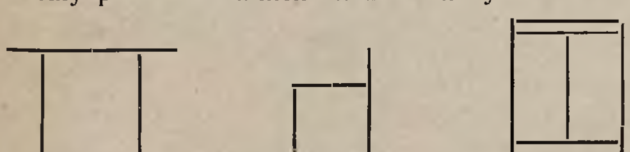
— Dobrze więc połóż nad nim u góry drugi patyczek poziomo.

Anielcia uczyniła tak, a Staś spojrzawszy na ułożone patyczki zawołał: „stół! stół!“ Rzeczy-



wiście wyglądało to jak mały stolik na jednej nóżce.

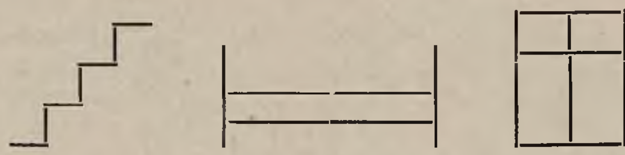
— Zrobimy duży stolik, tylko jeden patyczek trzeba przełamać w środku. Te przełamane patyczki połóż pionowo jeden niedaleko drugiego, a cały poziomo na nich. Widzisz ładny stół. Tak



Stół. Krzesło. Szafa.

samo z jednego całego i z jednego przełamanego patyczka zrobimy krzesło. Teraz dodam ci trzy patyczki i zrobimy szafę.

— Schody! złobil schody! — ucieszył się Staś i nierówno poukładał patyczki, które Anielcia naprawiała.



Schody. Łóżko. Okno.

— Zrobię teraz niespodziankę dla Stasia. Stasiu zamknij oczka.

Staś powieki mocno zacisnął, a Anielcia próbowała coś ułożyć, ale jej się nie udało, więc mamusi do uszka cicho szepnęła: „chcę ułożyć łóżeczko, bo on lubi lalkę niby usypiać“. Mamusia położyła dwa patyczki poziomo przy sobie, a trzeci przełamała w połowie i ułożyła pionowo po obu końcach tamtych patyczków.

— Teraz Stasiu otwórz oczka!

Staś usłuchał i naprawdę się ucieszył:

— Jożto! jożto! lala będzie pala! kuję Aniejciu.

Anielcia wiedziała, że „kuję“ znaczy dziękuję. Poprosiła jeszcze braciszka, by i dla niej coś ułożył, ale jemu się tak ładnie nie udawało, więc ułożyła sama ładne okno.

— Teraz Anielciu bawcie się same przez chwilę, a ja pójdę do kuchni. —Dzieci ogromnie się zajęły zabawą. Każde miało po kilka patyczków i wymyślało sobie same nowe wzorki. Staś mówił co ułożyć, a Anielcia układała. Ułożyła piękny domek z kominem. Do komina dołożył Staś patyczek tłómacząc: „tiu idzie dym“. Zrobiła mu jeszcze łopatę, gwiazdeczki rozmaite i koneweczkę. Staś patrzył uważnie, słuchał siostrzyczki, rączki przy sobie trzymał i niczego nie burzył.

Wtem wszedł tatuś.

— Tatuś! tatuś! teraz ty Tatusiu coś ułóż, coś najtrudniejszego — prosiła Anielcia.

Tatusiowi niewygodnie było na ziemi, przeniósł całą zabawę na stół, Stasia posadził na krześle, Anielcia sama usiadła i tatuś ułożył śli



Waga. Młynek. Czapka.

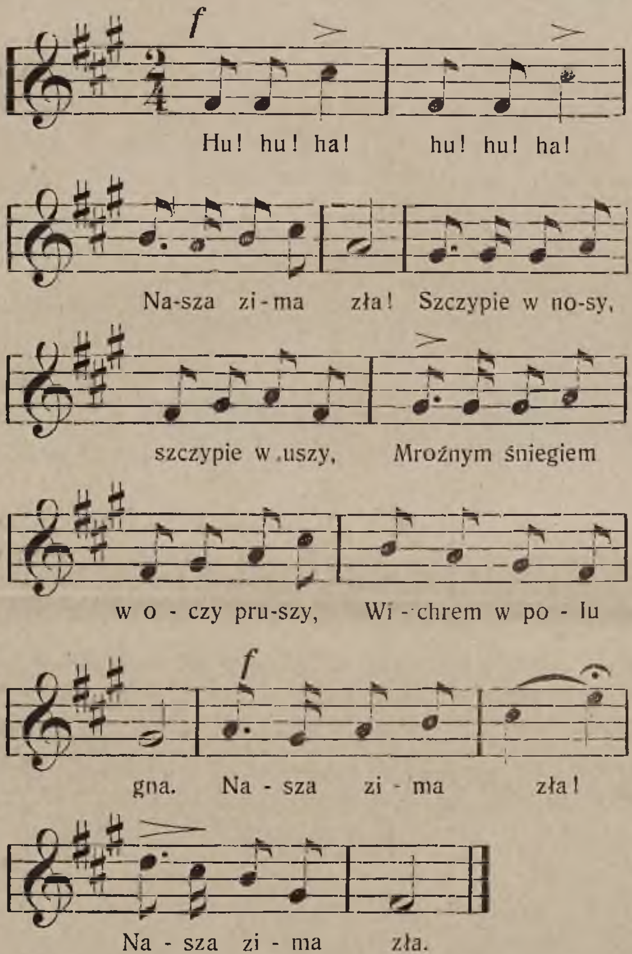
czną wagę, młynek do kawy i czapkę, taką samą jaką noszą chłopczyki z gimnazyum.

Anielcia nie nudziła się już tego wieczora Mama pochwaliła Stasia przed tatusiem, że to on wpadł na tak dobry pomysł. Tatuś zaś przypomniał sobie, że to właściwie już pan Frebel podobną zabawkę dla dzieci ułożył. Pan Frebel

zamówił nawet do swojej szkółki z fabryki zapałek te drewienka, z których się zapałki robią, by się niemi dzieci bawić mogły.

Zła zima.

Noskowski i Konopnicka.



Hu! hu! ha! hu! hu! ha! Nasza zima zła!
Płachta na niej długa, biała,
W ręku gałąź oszroniała,
A na plecach drwa. Nasza zima zła! Nasza zima zła.

Hu! hu! ha! hu! hu! ha! Nasza zima zła!
A my jej się nie boimy,
Dalej śnieżkiem w plecy zimy,
Niech pamiątkę ma nasza zima zła! Nasza zima zła!

Bałwan ze śniegu.

Kazio, Jaś i Marynia wybudowali bałwana ze śniegu.

Zgarnęli śnieg w ogromną kupę — to było ciało bałwana. U góry postawili kulę — to głowa. Zrobili mu oczy z węgla, nos z marchwi, zamiast ust wyżłobili mu dołek i wsadzili do dołka patyczek, to fajka, zrobili mu wreszcie ręce zwisające i dali miotłę do ręki. Tylko nóg nie miał wcale.

Bałwan stał tak prosto przez zimę całą.

Nieraz przypruszył go śnieg — nieraz strącił mu wiatr fajkę, albo koszyk, co niby kapelusz sterczał na głowie. Dzieci odwiedzały go często i poprawiały mu zawsze ubranie.

Razu pewnego, — było to z nadejściem wiosny — pochylił się bałwan ku ziemi. Snieg miękł i topniał, bo robiło się cieplej na dworze.

Śnieg jest taki dziwny, że w cieple, rozpływa się na wodę. Lód także — dlatego, w lecie niema śniegu ani lodu. Śnieg i lód są zawsze zimne, a jak się je ogrzeje, zamieniają się w wodę. Ale wodę można ogrzewać. Woda może być zimna, letnia i gorąca. Jeżeli się ją jednak za mocno zagotuje — to zamienia się w parę i ulatuje wysoko w powietrze, tak jak para z nad garnka lub samowara.

Z nadejściem wiosny, zaczął się więc bałwan rozpływać i — zamienił się w kałużę wody, po której pływał patyczek, miotła, węgielki i marchew.

Ptak znalazł koszyczek, uniósł go ze sobą, wyłożył trawką, słomą i piórkami i — zrobił sobie gniazdeczko.

Haneczka zobaczyła węgielki i patyczek i wzięła na podpałkę — ale z pewnością nie będą się paliły, bo są wilgotne — trzeba je wpierw osuszyć.

Po kałuży pływała kaczka i chciała zjeść marchew — nosek bałwana — tylko że nie smakował jej wcale! *B.*

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Lindego l. 8.